

ZBIGNIEW NIENACKI



PAN SAMOCHODZIK

i TAJEMNICA  
TAJEMNIC



Zbigniew Nienacki  
**Pan Samochodzik i tajemnica tajemnic**  
powieść z serii: „Pan Samochodzik i...”

© by Zbigniew Nienacki  
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:  
Katarzyna Kołodziej

Korekta i skład:  
Lidia Kowalczyk, Aleksandra Różanek

**Wydanie I**  
w Wydawnictwie Literatura

**ISBN 978-83-7672-392-1**

**Wydawnictwo Literatura**, Łódź 2015  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wyd-literatura.com.pl  
tel. (42) 630-23-81  
faks (42) 632-30-24  
www.wyd-literatura.com.pl

\* \* \*

Na kilka dni przed zakończeniem roku szkolnego przyszedł do mnie Baśka. Rozłożyliśmy na stole mapę Bieszczad i przez długie godziny wędrowaliśmy po niej końcem długopisu.

Baśka, który kończył właśnie drugą licealną, niedawno został zastępowym w jednej z warszawskich drużyn harcerskich. Nauczyciel geografii w jego klasie, zapalony turysta, zaproponował mu kilkunastodniową pieszą wędrowkę po kraju, w regionie, jaki chłopiec wybierze. Baśka postanowił zabrać na wycieczkę także swój zastęp, otrzymał na to zgodę macierzystej drużyny i chorągwi, a potem zwrócił się do mnie z pytaniem, dokąd powinni się udać. Bez namysłu oświadczyłem: w Bieszczady.

Miałem w tym swój ukryty cel. Z Baśką – a domyślcie się chyba, że był to chłopiec, ale o delikatnej urodzie dziewczynki, stąd i jego dziewczęce imię, jakie w charakterze przydomka dali mu koledzy – przeżyłem kilka przygód. Na Jezioraku walczyliśmy z bandą Czarnego Franka, we Fromborku rozwikłaliśmy zagadkę pułkownika Koeniga... Miałem do chłopca ogromne zaufanie i mogłem mu powierzyć pewną misję, niekolidującą z jego wakacjami.

Wędrowaliśmy więc po Bieszczadach naszymi długopisami. Baśka prowadził go po górskich pasmach, zaczynając od Chryszczatej i Wołosania, poprzez Habkowce, Jasło, Rabią Skalę, Czerteż, Krzemieniec i Wielką Rawkę.

Był to szlak przez niemal bezludne okolice, wspaniałe lasy, dzikie ustronia pełne zwierza i górskich strumyków o przeczystej wodzie. Szlak dla wytrwałych i silnych, bo trzeba przecież przez

te górskie ostępy nieść na plecach namioty, śpiwory, kuchnię polową i żywność.

– A z Ustrzyk Górnych, panie Tomaszu – kontynuował Baśka swój trudny marsz – zrobimy jeszcze wycieczkę na Szeroki Wierch, Tarnicę, Halicz i przez Krzemień wrócimy na Bukowe Berdo.

Lecz mój długopis sunął dolinami.

– Radzę wam najpierw zwiedzić Lesko i okolice – mówiłem. – Potem Hoczew, Uherce, Ustianową, Ustrzyki Dolne, Hoszów, Czarną i Lutowiska. Następnie wrócić do Ustrzyk Dolnych i pomaszerować na Liskowate i wyżej, aż na Kuźminę i Tyrawę Wołoską, skąd przez Góry Słone można dojść do Sanoka, gdzie jest piękne regionalne muzeum.

Baśka zrobił zdumioną minę.

– I to ma być wycieczka w Bieszczady? Pan chce, żebyśmy zamiast po górach, szli przez wioski i doliny, przez zamieszkane okolice? Myśleliśmy o trudnej i niebezpiecznej wyprawie.

Skinąłem głową i uśmiechnąłem się.

– Zapewne tam, na szczytach Chryszczatej czy Wielkiej Rawki, na Haliczu i Wielkiej Semenowej, można zobaczyć wiele pięknych widoków. Ale kto wie, czy ciekawsze przeżycia nie czekają na was w dolinach, w bieszczadzkich wioskach?

Baśka popatrzył na mnie uważnie.

– Zdaje mi się, że rozumiem. Przecież pan w tym roku już dwukrotnie był w Bieszczadach. Po co? Niechże pan nareszcie powie, co panu leży na sercu.

Pochyliłem się nad mapą. Obok zaznaczonej kółkiem małej miejscowości koło Zagórza zrobiłem długopisem delikatny krzyżyk.

– Wkrótce będę tam po raz trzeci. Zostawisz dla mnie wiadomość o sobie u Jana Sekundusa koło Zagórza. Bardzo bym chciał, aby w liście do mnie znalazła się pewna informacja...

I wtajemniczyłem Baškę w sprawę, która od dwóch miesięcy trzymała mnie w ciągłym niepokoju i napięciu.

## **ROZDZIAŁ I**

*Zły humor Marczaaka – Gang przemytników – Moja wielka porażka – Kto kupuje ikony – Dziwna historia pieska – Spotkanie z bestią – Kłopoty z Protazym – Gdy bestia kocha samochody – Sposób na Prota*

Dyrektor Marczak wrócił z Wiednia w bardzo złym nastroju. Na jego oczach, na aukcji w słynnym salonie Paula Schuberta, znowu sprzedano dwie stare ikony, co do których Marczak żywił głębokie przekonanie, że zostały przez kogoś przemycone z Polski. Na pytanie dyrektora, skąd pochodzą owe ikony, Paul Schubert wyjaśnił mu chłodno, że tego typu informacji może udzielić tylko policji wiedeńskiej. A jej trzeba przedstawić dowody, że dzieło sztuki, które znalazło się na aukcji, zostało komuś skradzione, co – jak zaznaczył pan Schubert – jeszcze nigdy się nie zdarzyło. Marczak nie mógł przedstawić podobnych dowodów, nie było bowiem sygnałów, aby obrabowano z ikon jakiegoś zbieracza lub muzeum w Polsce. Istniały natomiast informacje, że od pewnego czasu, a ściślej od pół roku, ktoś wykupywał ikony w polskich sklepach z dziełami sztuki. Potem te same ikony sprzedawano na aukcjach w salonie Paula Schuberta. Innymi słowy – przemycano je za granicę.

Doszła do naszych uszu wiadomość, że ktoś krąży po wsiach południowo-wschodniego skrawka Rzeszowszczyzny i od tamtejszych mieszkańców skupuje stare ikony, co w samej rzeczy nie jest

czynnością zabronioną prawem, ale w zestawieniu z informacjami o wzroście podaży ikon na aukcjach zagranicznych wydawało się podejrzanę.

W Polsce wolno każdemu sprzedawać, kupować i posiadać dzieła sztuki. Nie wolno ich tylko bez zezwolenia wywozić za granicę. A zezwolenie takie niełatwo jest uzyskać – wojna i okupacja zubożyły Polskę o wiele cennych obiektów. Dalsze jej zubożanie poprzez wywóz zabytków byłoby największą szkodą dla interesu narodowego. Stąd też, jeśli jakieś stare dzieło sztuki zawędruje z Polski do innego kraju, można być niemal pewnym, że stało się to nielegalnie.

Od roku jednak w salonie Schuberta, słynnego handlarza dziełami sztuki, pojawiały się stare ikony, pochodzące z województwa rzeszowskiego. Stare ikony stały się ostatnio bardzo modne i uzyskiwano za nie wysokie ceny. W Departamencie Muzeów i Ochrony Zabytków nabieraliśmy przekonania, że w Polsce zaczął działać gang zajmujący się przemycaaniem i sprzedażą ikon. Powiadomiliśmy o tym Komendę Główną MO i Główny Urząd Celny, lecz jak na razie – bez rezultatu. Gang działał w dalszym ciągu w pełnej konspiracji i ze skutkiem, o czym przekonał się dyrektor Marczak podczas swego pobytu w Wiedniu.

Nic dziwnego, że powrócił do Polski w bardzo złym nastroju. I natychmiast wezwał mnie do swego gabinetu.

– Jakie są rezultaty śledztwa w sprawie skupywania i przemycaania ikon? – zapytał mnie po krótkich słowach powitania.

– Żadne – odparłem, szczerze przyznając się do porażki.

Nie, to nie była porażka, raczej zupełna klęska. Pracowałem w Departamencie Muzeów i Ochrony Zabytków Ministerstwa Kultury i Sztuki jako referent do specjalnych poruczeń, czyli coś w rodzaju detektywa. Do moich zadań należało przyglądanie się działalności różnego rodzaju handlarzy antyków, baczenie, aby jakiś

cenny zabytek kultury nie został wywieziony za granicę. Zajmowałem się także wykrywaniem zaginionych podczas wojny zbiorów muzealnych i zabytkowych przedmiotów. Mogłem pochwalić się odnalezieniem cennych kolekcji dzieł sztuki, uznanych za bezpowrotnie zaginione, rozwikłałem kilka zagadek historycznych, które doprowadziły mnie do odkrycia skarbów kultury narodowej.

Ale teraz, od dwóch miesięcy, kręciłem się jak wiewiórka w kole, daremnie usiłując wpaść na trop gangu przemytników. Ta sprawa dręczyła mnie w dzień i w noc. Zrobiłem setki kilometrów, usiłując wpaść na trop tajemniczego gangu. I wszystko na próżno.

– Nie osiągnął pan żadnych rezultatów? – zdumiał się dyrektor Marczak. – Cóż to się stało, panie Tomaszu?

– Niestety, muszę przyznać się do klęski – bezradnie wzruszyłem ramionami. – Ta sprawa przerasta moje możliwości...

Dyrektor Marczak aż poczerwieniał z oburzenia.

– A więc sądzi pan, że powinniśmy z niej zrezygnować? Przecież nie każe panu aresztować przemytników, bo od tego jest milicja. Ale pozostaje w naszych możliwościach dowiedzieć się, kto w sklepach Desy i u chłopów w Rzeszowskim wykupuje stare ikony. A już milicja po nitce trafi do kłębka i gang znajdzie się za kratkami.

Westchnąłem ciężko.

– Jak panu wiadomo, dyrektorze, nabywcy dzieł sztuki w sklepach Desy nie muszą się legitymować. A mimo dwukrotnego pobytu na Rzeszowszczyźnie, niestety nie udało mi się trafić na ślad osobnika, który w tamtejszych wsiach kupował stare ikony. W każdym razie musi to być człowiek znający miejscowe stosunki i doskonale zorientowany, kto posiada jakąś starą ikonę. Ludzie, którzy je sprzedali, nie rozpowiadali o tym na prawo i lewo. Mimo tego zdołałem dotrzeć do dwóch takich, którzy stwierdzili, że nabywcą był jakiś młodzieniec na motocyklu. Niestety, nie udało mi się go odnaleźć.

– Już dwukrotnie jeździł pan w Rzeszowskie, pojedzie pan trzeci raz. I to jeszcze dzisiaj. Musimy odnaleźć tego młodzieńca i przerwać działalność przemytników!

– Tak jest, panie dyrektorze – z roztargnieniem podrapałem się po głowie. – Tylko... że dziś muszę załatwić sprawę psa...

– Psa? Pan chyba żartuje? Należy natychmiast podjąć akcję przeciw przemytnikom.

– Wysłałem listy w tej sprawie do znajomych rzeczoznawców w stolicach krajów demokracji ludowej – oświadczyłem. – Być może i oni zetknęli się z działalnością gangu i przekażą nam jakieś informacje o nich. A co do psa...

– Pan znowu o psie? – oburzył się Marczak. – Co ma wspólnego z naszą sprawą jakiś pies? Na wskazanie tropu przemytników daję panu... – zamyślił się – no, powiedzmy, miesiąc.

– Tak jest, panie dyrektorze – zgodziłem się posłusznie. – Tylko że dopiero jutro będę mógł pojechać w Bieszczady. Bo... ten pies, panie dyrektorze...

Nie dał mi dokończyć.

– Niech pan jedzie jutro, skoro pan dziś nie może. Ale nie chcę już więcej słyszeć o żadnym psie. Nie jesteśmy w związku kynologicznym, lecz w Departamencie Muzeów i Ochrony Zabytków.

Opuściłem gabinet dyrektora i na korytarzu znowu z roztargnieniem podrapałem się po głowie. Bez przerwy bowiem trapiła mnie myśl o psie.

Wczoraj zadzwonił do mnie znajomy lekarz i poprosił, żebym wziął od niego pieska.

– Otrzymałem go, Tomaszu, od swojego pacjenta w szpitalu – mówił mi przez telefon. – Pacjent ten niestety zmarł. Piesek trafił do mnie przed miesiącem. Bardzo sympatyczny. Tylko że ja już jutro wyjeżdżam na dłuższy czas do Indii i pieska z sobą zabrać nie mogę. Wybuchła tam znowu epidemia cholery i nasz rząd postanowił natychmiast wysłać ekipę lekarską, do której i mnie włą-



czono. Co zrobię z pieskiem? Pomyślałem o tobie. Jesteś samotny, przyda ci się przyjaciel. Przyjedź dzisiaj, to ci o nim sporo opowiem. A jeśli dziś nie zdążysz, to jutro wyda ci go moja gospodyni. Jej go zostawić nie mogę, bo to za duży kłopot dla starej kobiety. Weź pieska, Tomaszu. Nie będziesz żałował.

Namówił mnie. Przyrzekłem, że po pieska przyjadę.

Tak się złożyło, że tego dnia bardzo pilne zajęcia aż do nocy zatrzymały mnie w ministerstwie. A nazajutrz, jak wiecie, wezwał mnie do gabinetu dyrektor Marczak. Czyż mogłem natychmiast wyruszyć w Bieszczady, skoro miałem jechać po psa?

Jak wygląda ten piesek? Czy potrafi przywiązać się do mnie? – rozmyślałem. – A w ogóle, czy będzie nam razem wygodnie w mojej kawalerce na Starym Mieście?

Miałem maleńki pokoik i mikroskopijną kuchenkę. W pokoju stał tapczan, biurko, dwa fotele i pod ścianami wznosiły się regały z książkami. Dla pieska oczywiście dałaby się wygospodarować odrobina miejsca. Jamnik mógłby spać pod szafą – myślałem. – Ale może to pudelek? Tak, to będzie zapewne czarny pudelek.

Skończyły się godziny urzędowania, opuściłem gmach ministerstwa na Krakowskim Przedmieściu, wsiadłem do swego wehikułu i pojechałem na Bielany.

Zatrzymałem się przed dużym blokiem mieszkalnym, zadzwoniłem do malowanych na zielono drzwi ze znajomym nazwiskiem lekarza.

Otworzyła mi drzwi stara kobieta w chustce na głowie.

– Nie ma pana doktora. Już wyjechał w świat – oświadczyła trochę opryskliwie.

– Ja po pieska – wyjaśniłem.

Rozpromieniła się.

– O, chwała Bogu! On ciągle chce wychodzić na spacer, a ja mam reumatyzm i ledwo łażę. Doktor mówił mi, że pan przyjedzie. Proszę bardzo, niech go pan zabiera.

I wprowadziła mnie do przedpokoju, nie przestając przy tym gadać nieco zrzędliwie:

– Nie lubię psów. A jeszcze takiego psa, to już za żadną cenę mieć bym nie chciała. Zły jest jak sto diabłów.

To mówiąc, uchyliła drzwi do kuchni. Zaznaczam, uchyliła je nieco, ale natychmiast dojrzałem w szparze jakąś wielką łapę, a po sekundzie do przedpokoju wtargnął olbrzymi stalowoszary pies. Miał chyba dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, łeb wielki jak u cielaka i sterzące uszy. Był długi, ledwie by się zmieścił na tylnym siedzeniu mojego wozu.

Wtargnął do przedpokoju i ruszył na mnie z takim impetem, aż się cofnąłem pod ścianę i przywarłem do niej plecami.

– Pójdiesz ty! – krzyknęła na niego gospodyni i zamachnęła się ścierką.

Czuł chyba przed nią respekt, bo położył uszy po sobie i tylko obwąchał mnie, cicho powarkując.

Nie znam się na rasach psów. Ale nie ulegało dla mnie wątpliwości, że nigdy w życiu nie widziałem aż tak wielkiego.

– Doktor mówił o piesku – bąknąłem przerażony.

– To przecież piesek – odrzekła gosposia.

– To pies, proszę pani – odparłem stanowczo.

– Co, nie zabierze go pan? – zaniepokoiła się. – Przecież pan obiecał doktorowi. Co ja z nim zrobię? Niech się pan zlituje. Pan obiecał doktorowi zabrać tego pieska.

– Psa – burknąłem.

A potężne zwierzę, które przez cały czas naszej rozmowy nie przestawało mnie czujnie obserwować, raptem przysiadło na zadzie i wyciągnęło do mnie prawą wielką łapę.

– Co on chce? – zapytałem.

– Pan nie rozumie? Zdecydował się z panem przywitać – wyjaśniła gospodyni.

Z obawą ująłem w dłoń szorstką łapę i potrząsnąłem nią kilkakrotnie, jakbym witał się z dobrym znajomym.

– Jak on się wabi?

– Prot. Protazy, proszę pana. Zaraz przyniosę kaganiec, obrozę i smycz – i natychmiast popędziła do kuchni. Zapewne uważała, że skoro przywitałem się z psem i zapytałem o imię, to go zabiorę.

A ja byłem w rozterce. Przerazała mnie myśl o trzymaniu Prota w moim ciasnym mieszkaniu. Z drugiej jednak strony rzeczywiście przyrzekłem doktorowi, że psa zabiorę. Tylko że doktor wspomniał o piesku, nie o potężnej bestii...

Ale zostawić starą kobietę z tak wielkim zwierzęciem? Toż ona nie zdoła utrzymać go na smyczy, jeśli zechce się jej wyszarpnąć na spacerze.

Przyniosła obrozę, kaganiec i smycz. Prot zaczął machać ogonem, gdyż pomyślał, że pójdzie na spacer. Jego ogon, długi i silny jak pejcz, walił głośno w ścianę pokoju.

– Co on jada?

– Wszystko, proszę pana. Wszystko to, co i człowiek. A najlepiej to mu dawać mleko z bułką, wołowinę, kaszę gotowaną, kaszanekę.

Nałożyła mu na pysk druciany kaganiec, zapięła krótką smycz na obroży.

– Czy on się do mnie przyzwyczai? – wciąż byłem pełen obaw.

– Co ma się nie przyzwyczaić, proszę pana. Podobno jest tresowany. Ma dopiero dwa lata. Do doktora się przyzwyczaił, to i pana polubi. Groźny jest, ale mojej ścierki się boi – stwierdziła nie bez satysfakcji.

Z tym byłem skłonny się zgodzić. Czytałem w jakiejś książce, że w dawnych latach w starych dworach, gdzie chowano zawsze wiele groźnych psów, co to gotowe były każdego rozszarpać na

strzępy, czuły zawsze one respekt przed kucharkami. Machnięcie ścierki gosposi czy kucharki wyganiało z kuchni nawet najgroźniejszego zwierzaka.

Natomiast gdy ja ująłem smycz, pies cicho warknął. Zapewne sądził, że to stara gosposia wyjdzie z nim na spacer. Raptem okazało się, że zabiera go jakiś obcy człowiek.

– No chodź, Prot – powiedziałem rozkazująco, bo słyszałem, że tak należy postępować z psami. Człowiek powinien narzucić zwierzęciu swoją wolę.

Gosposia szybko otworzyła drzwi.

– Chodź – powtórzyłem ostro i pociągnąłem psa za smycz.

Ruszył ze mną na schody. I szedł posłusznie.

Trudno, co będzie, to będzie – pomyślałem, otwierając przed nim drzwiczki wozu.

A Prot na widok wehikułu radośnie zamachał ogonem i, nie namyślając się wiele, błyskawicznie usadowił się na tylnym siedzeniu.

No, mam cię, bratku. Tym ja ciebie przekupię – ucieszyłem się.

Od wielu osób bowiem słyszałem, że większość psów uwielbia jazdę samochodem. To dość dziwne, ale faktem jest, że psy, niemal jedyne spośród zwierząt, najprędzej polubiły uroki podróży pojazdami mechanicznymi. Znam pewnego leśniczego, który posiada bardzo groźnego brytana. Ten na wpół dziki zwierzak nie daje się przekupić kąskiem najsmaczniejszej kielbasy, ale niech no pojawi się ktoś samochodem, pies tylko czeka na sposobną chwilę, żeby wśliznąć się do wnętrza. I może go z leśniczówki wywieźć każdy właściciel samochodu, tak sobie ceni uroki pojazdów mechanicznych.

Prot rozsiadł się wygodnie i wydawał się zachwycony perspektywą jazdy. Natomiast moja osoba nie budziła jego zainteresowania.

– Prot, Proteczku, Protazeńku – przemawiałem do niego. – Nie dąsaj się na mnie, bo w gruncie rzeczy jestem człowiekiem poczci-

wym i lubię zwierzęta. Będzie ci u mnie dobrze, choć trochę ciasno. Na szczęście często wyjeżdżam w teren i staniesz się moim towarzyszem. Niekiedy zdarza mi się znaleźć w dość niebezpiecznych sytuacjach, a więc na brak rozrywek nie powinienes narzekać. Jestem kawalerem, a ponieważ i ty pozostajesz w stanie wolnym, wydaje mi się, że znajdziemy wspólny język.

Tak do niego mówiłem, albowiem w *Księdze z San Michele* wyczytałem, że do zwierząt należy przemawiać łagodnie i monotonie, a wtedy one stają się łaskawe i nabierają do nas sympatii. Nie wiem jednak, jak to było w przypadku Axela Munthe, bo jeśli chodzi o Prota, to udawał, że mnie nie słyszy. Nawet moje najczulsze zwroty nie robiły na nim żadnego wrażenia. Nie drgnęła mu powieka, nie poruszył oczami. Patrzył w okno – zimny, wyniosły, obojętny, wrogi.

Umilkłem, bo miałem uczucie, że jestem dla niego powietrzem, prochem marnym, nicością niewartą jego najmniejszej uwagi.

Byłem przekonany, że mojej osobie nie poświęcił nawet jednej myśli, o ile – rzecz jasna – pies myśli, co nie jest całkiem dowiedzione. W każdym razie ja rozmyślałem. Przede wszystkim o głębokiej prawdzie przysłowia: „Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie prosię”.

Postanowiłem, że dla Prota urządzię leże w moim małym przedpokoju. Kupiłem kawałek mikrogumy i tani koc, a potem zatrzymałem wehikuł przed sklepem z delikatesami, wysiadłem i stanąłem w kolejce po kaszankę. Gdy wróciłem do wehikułu po pół godziny, Prot siedział na przednim siedzeniu. To znaczy na moim miejscu. I trzymał łapy na kierownicy.

– Bądź łaskaw przenieść się na drugie siedzenie i ustąp mi mojego fotela – odezwałem się do niego bardzo grzecznie. – Chyba nie zamierzasz kierować samochodem?

Ani drgnął. Trzymał wciąż łapy na kierownicy i nawet nią trochę poruszał, jak dzieci, gdy się bawią w jazdę samochodem.

– Prot, Proteccku – przemówiłem błagalnie. – Popatrz, kupiłem ci smaczną kaszanke.

Uchyliłem nieco papieru, aby własnymi oczami i własnym nosem przekonał się, jaki to czeka go smakołyk. Lecz on nawet nie poruszył uszami. Nie spojrzął na mnie, tylko przez przednią szybę przyglądał się ludziom chodzącym po ulicy.

– Posuń się – powiedziałem nieco gniewnie i spróbowałem biodrem zepchnąć go na drugie siedzenie.

Warknął. Był w kagańcu, lecz mimo tego trochę się przestraszyłem.

I co ja teraz zrobię? – rozmyślałem gorączkowo.

Przychodziły mi do głowy najróżniejsze pomysły. Żeby wezwać milicjanta i poprosić go o usunięcie intruza z wehikułu. Może na widok munduru Prot zreflektuje się? Lecz jeśli milicjant powie: „To pański pies, martw się pan o niego, a mnie pan głowy nie zawracaj”?

– Prot. Proteccku – znowu przybrałem proszący wyraz twarzy i głos miałem błagalny.

Ani drgnął, bestia. Wyglądało na to, jakby naprawdę zamierzał kierować wehikułem.

Z delikatesów wyszedł dyrektor Marczak. Niósł w rękę paczkę dość dużych rozmiarów, widać zrobił jakieś spore zakupy.

Przykucnąłem za samochodem, żeby mnie nie zauważył, ale charakterystyczna sylwetka wehikułu natychmiast rzuciła mu się w oczy.

– A, to pan! – zawołał radośnie z chodnika. – Bardzo się cieszę, że pana spotkałem. Taksówek jak na lekarstwo, a ja mam ciężką paczkę. Podrzuci mnie pan do domu?

Nie wiem, czy istnieją pracownicy, którzy swemu szefowi potrafią odmówić podwiezienia do domu, gdy szef ma sporą paczkę.

– Bardzo chętnie – oświadczyłem. – Tylko... że pies...

– Co, znowu pies? – zdumiał się Marczak. – Jezus Maria, czy pan się nigdy nie wyzwolił od tej psiej manii prześladowczej? – Zobaczył Prota na przednim siedzeniu wehikułu. – Hm – chrząknął i zapytał: – Co to jest?

– Piesek, panie dyrektorze. Otrzymałem go w podarunku od pewnego lekarza. Właśnie dziś rano wspominałem panu...

– Nie wiem, po co panu pies. W każdym razie mnie on nie przeszkadza. Podrzuci mnie pan, prawda?

– Obawiam się, że to będzie niemożliwe – wyjąkałem, przestępując z nogi na nogę.

– A dlaczego?

– Właśnie proszę go, aby się usunął z przedniego siedzenia i pozwolił mi zasiąść za kierownicą.

– I nie słucha?

– Warczy.

– Zdumiewające – stwierdził Marczak. – Pan chyba nie ma właściwego podejścia do zwierząt. Do nich trzeba ostro, powinny znać mores.

To mówiąc, dyrektor Marczak stanowczym krokiem zbliżył się do wehikułu i zawołał do Prota:

– No, jazda stąd! Usun się, piesku.

Trzeba było usłyszeć ten straszliwy warkot, który wydobył się z gardzieli Prota. Myślałem, że pies rzuci się na Marcza. Całe szczęście, że był w kagańcu.

– To wściekła bestia! – burknął dyrektor, odskakując od samochodu. – Wolę poszukać taksówki.

– Panie dyrektorze, niech pan mnie nie zostawia w takiej sytuacji.

– A co ja mogę panu pomóc?

– Może pan jeszcze raz spróbuje go przekonać, żeby mi pozwolił zasiąść za kierownicą. Tylko pracowników słucha pana w naszym departamencie, a zwykły pies nie miałby pana posłuchać?

Dyrektorowi pochlebily widać moje słowa.

– No cóż, spróbuję. A jak on się wabi?

– Prot, panie dyrektorze. Zdrobienie od Protazy.

– Aha, rozumiem. No więc, spróbuję.

Podszedł do otwartych drzwi wehikułu i przemówił groźnie:

– Usuń się na tylne siedzenie, Prot! Jazda na tylne siedzenie!

Pies ani drgnął.

– Nie słucha pana – stwierdziłem.

– Ja sam widzę, że mnie nie słucha – odburknął dyrektor, czując, że jego autorytet został nadszarpięty. – Ten pies został źle wychowany. Idę jednak szukać taksówki. Panu radzę zrobić to samo. Pojedź pan taksówką do domu i zjawi się pan tu za kilka godzin. Pies trochę zgłodnieje i stanie się bardziej ustępliwy. Do zobaczenia.

I odszedł.

– Prot. Proteczku – szepnąłem błagalnie.

Bestia ani drgnęła.

I byłbym tak stał chyba do końca świata – albo za radą dyrektora poszedłbym na poszukiwanie taksówki – gdybym sobie nagle nie przypomniał, co mi mówiła gosposia lekarza. Że Prot był tresowany.

– Prot! – krzyknąłem rozkazująco. – Do nogi! Broń pana!

W okamgnieniu pies wyskoczył z wehikułu i stanął przy mojej lewej nodze. Wściekłym wzrokiem toczył wokół siebie, szukając przeciwnika do walki.

A ja prędyutko wskoczyłem na swoje miejsce za kierownicą. Otworzyłem tylne drzwi wehikułu.

– Prot! Na miejsce! – zawołałem, wskazując tylne siedzenie.

Posłuchał błyskawicznie i usadowił się z tyłu. Uruchomiłem silnik. Potem ostro ruszyłem na Stare Miasto. W pewnej chwili, jadąc ulicą, wydało mi się, że w gromadzie ludzi czekających na



postoiu taksówek dostrzegłem dyrektora Marczaka. Ale może to było tylko złudzenie?

Odstawiłem wehikuł do garażu. Powiedziałem zdecydowanie do Prota:

– Idziemy. Marsz!

W mieszkaniu zdjąłem mu z pyska kaganiec. Chciałem go pogłaskać, ale stchórzyłem. Bestia – myślałem – gotów mnie ugryźć.

Nakarmiłem psa kupioną w mieście kaszanką. Najadł się do syta, a potem – mimo że wskazałem mu dywanik koło szafy – wskoczył na mój tapczan i leżał na nim jak długi. Westchnąłem ciężko, bo zabrakło mi odwagi, żeby go stamtąd spędzić.